Nr. 11 i 12. Listopad i Grudzień 1890. **Rok IV.**

Wychodzi w Krakowie co miesiąc. Wkładka roczna wraz z prenumeratą czyni 1 złr. 50 ct.: dla nauczycieli szkół ludowych i uczniów szkół średnich 1 złr. z przesyłką.

OPIEKUN ZWIERZĄT

DOMOWYCH i POŻYTECZNYCH.

ORGAN

KRAKOWSKIEGO STOWARZYSZENIA

OCHRONY ZWIERZĄT.

ADMINISTRACYJA i EXPEDYCYJA w Krakowie, ul. Dolnych Młynów, l. 5. p. I., dokąd wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy. Członkowie krakowsk. Stow. ochr. zw. otrzymują czasopismo bezpłatnie.

„Kto dla zwierząt litość budzi,
będzie dobrym i dla ludzi!

Józef Chmielewski.

Odpowiedzialny redaktor:
Bronisław Gustawicz.

Do członków.

Szanownych Członków Krakowskiego Stowarzyszenia ochrony zwierząt upraszamy uprzejmie o jak najrychlejsze uiszczenie wkładek za rok 1889 i 1890, miejscowych na ręce kursora, zamiejscowych zaś przekazem, który załączyliśmy do Nru 10, wprost do biura Stowarzyszenia. Nieuiszczenie wkładek przez członków, którzy „*Opiekuna zwierząt*“ przez cały rok pobierali, naraża Stowarzyszenie na niepowetowane straty, albowiem wkładki te stanowią jedyny jego fundusz. Oświadczyć musimy, że zaległości Szanownych Członków, przedewszystkim zamiejscowych, wynoszą poważną sumę. Spodziewamy się, że Szan. Członkowie nie zechcą przynieść Stowarzyszeniu niczym niedającéj się wynagrodzić szkody i tamować go w pomyślnym rozwoju. Wkładka jest bardzo mała, bo miesięcznie wynosi dla jednych $12^1/_2$ ct., dla drugich $8^1/_4$ ct., za co każdy członek otrzymuje czasopismo miesięczne w objętości arkusza. Są członkowie tak w Krakowie jak na prowincyi, którzy serdeczne utrzymują stosunki ze Stowarzyszeniem i najregularniéj uiszczają swe wkładki, a będąc członkami Stowarzyszenia od lat czterech, wyrobili sobie to przekonanie, że dążności, praca i skutki pracy Stowarzyszenia są godne ich poparcia, dlatego téż godnie je wspierają. Ale — niestety — są członkowie, którzy zapisawszy się do Stowarzyszenia i otrzymawszy kartę legitymacyjną, odbierają rok jeden i drugi — 12 razy do roku — *Opiekuna* — „*franko*“ do domu, nic atoli nie płacąc. Pozwalają oni przesyłać sobie od czasu do czasu przypomnienia po kilka razy . . . ., lecz nie poczuwają się nawet do grzeczności, by odpowiedzieć! Zdarzały się i takie przypadki, że gdy się upominano o złożenie wkładki, otrzymywało Stowarzyszenie pod koniec roku przy zwrocie ostatniego numeru *Opiekuna* odpowiedź: „*Ja już do towarzystwa nie chcę należeć, proszę mię wykreślić*“. Czemuż nie oświadczył tego członek na początku roku w styczniu, zwracając numer 1. gazetki naszéj? Dlaczegóż to nie zawiadomić korespondentką zaraz w pierwszym miesiącu nowe-

go roku: „*Występuję*". Takie postępowanie jest niesumienne, a taka niesumienność zasługuje na napiętnowanie publiczne. W skutek takich członków Stowarzyszenie zamiast naprzód postępować i realniejszymi zarządzeniami nazewnątrz zamanifestować, musi kuleć i w czynnościach swoich doznawać bardzo niemiłych przeszkód.

PTASZEK W ZIMIE.

Mróz ostry, wiatr wieje, śniegiem wkoło miecie,
a wszędzie tam zaspy, gdzie bywałem w lecie.
Gęsta suknia z piórek wprawdzie mię ubiera,
lecz ona nie grzeje, gdy mi głód doskwiera.
Drżąc siedzę na drzewie i patrzę w okienko,
czy mi kto z litości nie sypnie co ręką.
Małym ja towarzysz i smutną mam minkę,
z wdzięcznością przyjmuję każdą okruszynkę.
Gdy wiosna zawita, wtedy dzięki czynię,
tnę pieśni wesela w zielonéj gęstwinie.
A w lecie — héj, w lecie! — gdym szczęśliw bez miary,
z procentem odpłacam wasze szczodre dary.
Zjadam mnóstwo chrząszczów, zjadam gąsienice,
co tak niszczą sady, całą okolicę.
A teraz mróz wielki, śnieg zbliska, daleka....
ludzie miejcie litość! Głód strasznie dopieka!
Inaczéj — to z głodu zginie biedne ptaszę,
a z wiosną smutniejsze będą sady wasze.

Józef Chmielewski.

Żywienie ptactwa w zimie.

Zima śnieżysta i mroźna przejmuje smutnie wszystkich, nawet tych, którym przynosi pewne przyjemności i rozkosze. Ubodzy szukają ocalenia w litości, a miłosierdzie ludzkie otwiera swe ramiona. Otwierają się domy przytułków, ogrzewalnie i tym podobne urządzenia dla ludzi! Najnieszczęśliwszymi atoli istotami na ziemi są ptaki, nieopuszczające nas w zimie. Minęły dla nich piękne słoneczne dni lata. Śpiew zamarł, a nastała troska o życie. Ptactwo nie znosi długo téj troski. Kilkudniowy głód i mróz, — to dla nich śmierć spokojna, lecz okropna. Ptactwo rozweselające nas śpiewem, oczyszczające sady, ogrody, gaje i pola z szkodliwych owadów, nie żebrze jałmużny, choć miałoby prawo do naszéj wdzięczności. Osowiałe, o napuszonych piórkach siedzi spokojnie, milcząco a tylko serca czułe, litościwe zrozumią te prośby nieme. Każdy, kto może, niech spieszy z pomocą. Każda okruszyna chleba, każde ziarnko rzucone ręką litościwą w miejsce dostępne, od śniegu wolne, ratuje życie wiernych naszych przyjaciół.

Ojcowie, matki, nauczyciele! nie zapominajcież więc o biednych ptakach wśród srogiéj zimy, a zalecajcie dzieciom tę miłą troskę o ptaki, uszlachetniającą ich młode serduszka!

OPOWIADANIA
O ZWIERZĘTACH POŻYTECZNYCH.

Dokończenie.

IV. Płazy.

Do działu zwierząt, które **płazami** nazywamy, należą **żaby**, **traszki i salamandry**.

Co do **żab** prócz pięknéj zielonéj żabki zwanéj **rzekotką**, zmieniającéj wraz z skórą barwę swą na niebieskawosiwą, którą się nikt nie brzydzi, żyją u nas jeszcze trzy inne gatunki, tj. **żaba zielona** (*jadalna*), **kumak** i **ropucha**. Żaby są zwierzęta żywiące się wyłącznie owadami, ślimakami, dżdżownicami i innym robactwem, nie przepuszczając nawet osom i szerszeniom, choć je znowu wypluwają. Młode żabki czyli głowacze żywią się roślinami wodnymi. Żaby są zatym zwierzętami dla pól i ogrodów bardzo pożytecznymi i byłoby do życzenia, aby pastuchów i innych nie lepszych od nich swywolników przecież raz nauczono nie kaleczyć i zabijać tych zwierząt. Z jednego gatunku, tj. **żaby zielonéj**, jak wiadomo, jedzą uda. Ten przysmak możnaby zostawić Włochom i innym. Jednak cobądź, ohydną to rzeczą, biednym tym zwierzętom ucinać żywcem tylne nogi, a tak pokaleczone rzucać precz, jak gdyby ich w takim razie nie można poprzednio zabić.

Ropuch jest u nas pięć gatunków. Nie są to zwierzęta powabne, owszem dla odrażającéj woni i nieprzyjemnych wypocin wstręt wzniecają. Mimo to są one zarówno pożyteczne, jak inne żaby, od których lepszy mają żołądek, bo nawet osy i szerszenie zjadają; mrówek tylko strawić nie mogą, a gdy którą przypadkiem połkną, znowu ją wyplują. Śmieszny jest przesąd ludu, jakoby żaby lub ropuchy znajdujące się często pod zbożem na pokosach lub pod stogami zjadały zboże, a na pniu je podcinały, mianowicie proso. Nie zboża, lecz owadów i robaków szukają żaby i ropuchy pod pokosami lub stogami i nie one, lecz robaki i owady podcinają zboże. Nie jest to więc wcale dowodem głębokiéj znajomości przyrodzonych własności tych zwierząt, że tu i owdzie w kraju naszym właściciele dóbr każą pastuchom zabijać ropuchy, płacąc za nie po 2 i więcéj centów. Ci, co tak znają historyją naturalną, niech sobie wezmą za przykład tych Anglików, co wytępiwszy u siebie te zwierzęta, potym skąd inąd je skupywali i do siebie wieźli, rozpuszczając je gło-

wnie po rośliniarniach i ogrodach. Zresztą prócz nierozumu ludzkiego, mają te pożyteczne zwierzęta, mianowicie żaby, aż nadto wiele nieprzyjaciół wytępiających je; są nimi jéż, kret i ryjówki; zpomiędzy orłów włochacz, krzykacz i gadożer; zpomiędzy sokolów pustułka, kania, myszołowy, błotniak zbożowy; wreszcie bociek. I to nie prawda, że ropuchy wzrokiem swoim myszy, ptaszki i inne małe zwierzątka potrafią zaczarować i niejako do ziemi przykuć, aby je tym łatwiéj pożreć, albo że między ropuchą a pająkiem krzyżakiem śmiertelna jest zawiść i że ropucha na sam widok jego pęka, i ile tam jeszcze jest podobnych głupstw.

Ropuchy jako zwierzęta po większéj części nocne dla nieprzyjemnéj woni i wypocin nie wiele mają nieprzyjaciół między zwierzętami, oprócz jednego jeża, który je zjada. Zatym zaś, że one nie są piękne, przecież nie powinno iść to, aby je zabijać, skoro nietylko nie są szkodliwymi, ale owszem pożytecznymi zwierzętami.

Wreszcie z trzech gatunków **salamander** żyjących w kraju naszym jeden przebywa w górach w Tatrach koło tak zwanéj Jaszczurówki, o tym gatunku podajemy poniżéj dokładniejszy opis; dwa inne **traszkami** zwane znajdują się wszędzie w wodach stojących, stawach, rowach i kałużach. Zwierzęta te żywią się owadami, ślimakami, dżdżownicami i innym robactwem i są zarówno pożyteczne, jak jaszczurki, żaby i ropuchy.

Do onych brzydkich zabaw rozpustnych dzieci należy także męczenie i zabijanie wszystkich dotąd wymienionych gadów i płazów, a rodzice, choć się to w ich przytomności dzieje, albo zresztą dobrze o tym wiedzą, najczęściéj nie widzą nawet potrzeby zganienia dzieciom swoim tak szkaradnéj zabawy.

V. Ryby.

Jak znacznym kiedyś w kraju naszym było gospodarstwo rybne, najlepszym tego dowodem, że nie było wsi, nie było dworu, nie było plebanii, coby nie posiadały po kilka większych lub mniejszych stawów i rybników. Jak rybołostwo w rzekach, tak prawo zakładania stawów i rybników nadawali królowie. Jedno i drugie przynosiło zatym niepoślednie zyski i przynosi je dotąd, częstokroć pewniejsze od uprawy roli. W krajach nadmorskich obfitujących w dobrą rybę znaczna część dochodów i bogactwa mieszkańców z tego płynie źródła Tam nawet, gdzie przez złe gospodarstwo pozbyto się tych korzyści, zapomocą sztucznego rozmnażania ryb usiłują nanowo zapewnić je sobie. U nas niestety raczéj o złym, niż o dobrym gospodarstwie rybnym po rzekach prawić trzeba, a starsi i rozumniejsi rybacy już od lat kilku użalają się na ubytek ryb w rzekach. Skąd to pochodzi? Nie zinąd, jeno skąd ubytek zwierzyny. Dziś czy się ryby

trą, czy nie trą, czy dorosły, czy nie, żadnéj nie ma na to uwagi. Miejscami całe gminy jak zwierzęta drapieżne czasu tarła rzucają się na przybyłą rybę i wszystko ze szczętem niszczą. Tak np. bywało, że na święta wielkanocne nad Skawą w pewnéj wsi, gdy się świnka tarła, wyległa cała wieś, chłopy, baby i dzieci, i nie zostawiono ani jednéj ryby. Nieckami wyrzucano ją na brzeg. Jeden tylko chłop nałapał 40 kóp i wziął za każdą od żyda po reńskiemu, a zatym za jednę rybę nawet nie spełna 2 centy. Bardzo wiele zmarniało, mianowicie wszelki drobiazg, resztę sprzedawano w Krakowie kopę po 4 zł. Ryby wyniszczono, a lud oszukano. Tymczasem w Krakowie trzeba zapłacić za porządną świnkę do 40 centów. Nie lepiéj dzieje się z sumami, węgorzami i innymi drobnymi rybami w Bugu, z łososiem i pstrągiem we wszystkich rzekach naszych,gdzie się poławia. Soła, Skawa, Dunajec były dawniéj rybne rzeki, a o łososia nie było w nich wcale trudno. We wschodniéj części kraju we wszystkich strumieniach górskich wyławiają drobniutkie pstrążki i inne ryby, i suszone na patyczkach sprzedają po kilka centów kopę! Na targach żydowskich można taki drobiazg korcami widzieć. Ile przez takie pustoszenie odejmuje się krajowi dobrego pożywienia, ile przepada dochodu pieniężnego, każdy pojmie z łatwością, gdy sobie obliczy, ileto takich węgorzyków, jak palec wlezie do litra, a ileby za nie wzięto, gdyby im dano doróść, skoro po sklepach kilogram marynowanego węgorza sprzedają po 2 złr., kilogram łososia po 3 złr., a wyrosły węgórz waży 1 do $1^1/_2$ kilogr., łosoś zaś 5—8 klgr.

Nie ma też wcale co chwalić, że gminy miejskie i wiejskie położone nad rzekami wypuszczają rybołostwo żydom. Powyżéj przytoczone przykłady o Sole i Skawie uczą, że ci dzierżawcy są jedną z główných przyczyn zupełnego wyrybienia rzek naszych, bo jużcić cóż takim ludziom może zależeć na utrzymaniu przyrodzonego bogactwa kraju naszego? Aleć i powierzanie go takim głowom i takim sumieniom nie świadczy o dobrym rozumieniu własnéj korzyści ze strony właścicieli. W księstwie austryjackim ustawy rybackie z lat 1583, 1720, 1728, 1771 zapobiegały wyłapywaniu narybku tak przez rybaków, jakoteż przez kogobądź innego, niemniéj używaniu zabronionych gęstych sieci, gdyż jedno i drugie nieocenione przynosiło szkody gospodarstwu rybnemu. A u nas cóż? Mamy dobrą ustawę rybacką, ale któż dba o jéj wykonanie? — Po brzegach wpobliżu miast pełno próżniaków z wędami, gdzie woda tworzy spokojne zatoki, tam używa się trutki, wreszcie na rzekach mniejszych co kawałek to kamienna tamka, a co noc więcierz. Skądże się więc mają brać ryby? Chybaby musiały spadać z światłem księżycowym. Zaś co do wędek, toć tym nie wielka zrobi się szkoda rybołostwu, ale się podsyca próżniactwo, a co przez kilka godzin straconych ułowiono, tym się nikt nie nasyci, wreszcie wyjmowanie, a raczéj wydzieranie zaczepionego ha-

czyka z ust biednej rybki jest istotnym barbarzyństwem. I tu znowu wypada pochwalić tych rodziców, co dzieciom kupują wędki dla zabawy. Ani słowa, że i to zabawa wcale niewinna.

Tak na tym kończymy opowiadania nasze o zwierzętach pożytecznych i potrzebie ochraniania ich[1]. Oby kilka tych słów przyczyniło się do głębszego zastanowienia się nad tworami bożymi pod względem ich rzeczywistej pożyteczności lub szkodliwości, do szanowania i oszczędzania tego, co jest pożyteczne, do zaniechania dręczenia zwierząt, a prześladowania i tępienia pożytecznych.

Br. G.

SALAMANDRA PLAMISTA

czyli

Krzeczek plamisty.

Na północnym stoku Tatr, godzinę drogi od kościoła zakopiańskiego na wschód, a o połowę mniej od kuźnic zakopiańskich, w ciasnym ujściu doliny Olczyska, między pomiernymi wierzchami, Nosalem od Zachodu a Małym Reglem od wschodu, 909 metrów nad powierzchnią morza tryszczy jedyna cieplica w obrębie ziem polskich dotąd znana. Lud miejscowy zwie tę cieplicę J a s z c z u r ó w k ą od znajdującej się koło niej salamandry.

Zwierzątko to powinowate jest z jaszczurkami, a postacią ciała zupełnie do nich podobne. Więc też nietylko lud prosty, ale wszyscy, co nieprzywykli przypatrywać się dokładnie, uważnie okiem badawczym tworom przyrody, biorą salamandrę za jaszczurkę.

Jaszczurki są zwierzątka żywe, zwinne, wesołe, salamandry ociężałe, powolne i niezgrabne. Stosunek jaszczurek do salamander jest prawie tensam, jak zwinnych, skocznych żab do pękatych ropuch. Salamandry mają skórkę gładziutką jak aksamit, połyskująco czarną, z wielkimi pięknymi plamami pomarańczowo-żółtymi, tworzącymi po obu stronach grzbietu pas przerywany, niekiedy i nieprzerwany. Plamy te są bardzo rozmaite co do wielkości, kształtu i rozmieszczenia. Od nich wzięła salamadra nazwę plamistej, po nich też na pierwszy rzut oka zwierzątko to poznać można. Jaszczurki zaś są pokryte łuskami.

Ponieważ salamandra jest zimna i wilgotna, więc też dotknięcie się jej może być dla niejednego nieprzyjemne. Oczy ma piękne, duże, czarne, ale wyraz oblicza świadczy o głupowatości raczej, niż o jakiejbądź złośliwości. Nogi są u niej krótkie

---

[1]) Ob. *Opiekun zwierząt.* R. II., 1888., str. 8, 18, 97, 132, 149, 175, 189; R. III., 1889., str. 27, 35, 60, 78, 115; R. IV., 1890., str. 9, 18, 41, 67, 95, 111, 126, 162.

i grube; u nóg przednich ma po cztéry, u tylnych po pięć palców bez pazurków i pletwówki, podczas gdy jaszczurki u wszystkich cztérech nóg mają po pięć palców. Żeber nie ma. W obu szczękach i na podniebieniu ma maleńkie ząbki. Ucho nie jest nazewnątrz widoczne. Po bokach ciała ma salamandra szereg brodawek dziureczkowatych, a poza uszami w skórze gruczołki także dziureczkowate, wydzielające wraz z pomienionymi brodawkami, gdy się je podraźni lub ściśnie, płyn barwy mlecznéj, gorzki i mocno woniejący, niebezpieczny dla małych zwierząt, jako to ptasząt, żab, jaszczurek, ale wcale nieszkodliwy dla zwierząt większych i dla człowieka. Jedyna to broń tego zwierzątka, które się zasłania od zaczepek innych zwierząt, mianowicie psów. Kury i indyczki jedzą bez szkody pokrajaną salamandrę, psy dostają niekiedy wymiotów.

Przyrodnik niemiecki Jäger, chcąc się przekonać o mniemanéj szkodliwości tego płynu, brał go kilka razy na język, nie spostrzegł wszakże nigdy żadnych pryszczów, lecz uczuł jedynie swiędzenie i pieczenie. Na błonie śluzowéj nosa płyn ten sprawia świędzenie, pieczenie i bardzo słabe zapalenie, niemniéj silne kichanie. Na skórze dłoni lub jakiegobądź innego miejsca ciała żadnego nie sprawia wrażenia. Więc téż bez żadnéj obawy salamandrę można brać do ręki i najmniejszéj nie ma przyczyny, aby na jéj widok drżeć, mdleć, odskakiwać i Bóg wie, jakie tam jeszcze wyprawiać grymasy, albowiem oprócz jedynéj żmii wszystkie gady i płazy żyjące u nas, jakoto żółwie, jaszczurki, węże, żaby, ropuchy i salamandry, są zwierzętami dla człowieka nietylko wcale nieszkodliwymi, ale owszem pożytecznymi; zatym téż wstręt do nich polega na przywidzeniach, urojeniach i przesądach, podczas gdy pożyteczność ich powinnaby nas oswajać z nimi i od wszelkiego zasłaniać je prześladowania.

Widziałem dzieci z lepszych, jak to mówią, domów, rozcinające prętem żaby. O téj zabawie wiedzieli rodzice, ale jéj nie zabraniali. Rozumiałem, że nie rozbudzanie, lecz przytłumienie uczucia uważali za potrzebne do przyszłéj pomyślności swych aniołków. I w rzeczy saméj, dla kogo jedynym celem życia jest lub ma być dobrze zjeść, dobrze wypić, zrobić majątek, temu serce nietylko niepotrzebne, lecz owszem nieraz będzie zawadzało. Dobrze więc pozbyć się go zawczasu. To więc myślałem sobie, widząc dzieci z lepszych domów, rozcinające prętem żaby. Na czym w tym wypadku polega ta lepszość, nie wiem.

Lepiéj podobało mi się kilku pastuszków w Szczawnicach. Bawiąc tam jednego roku, wybrałem się raz z dwoma uczniami gimnazyjalnymi do Pienin. Z zamku św. Kunegundy sploszyła nas burza ciągnąca od Tatr. Schroniliśmy się od ulewy pod dwie olbrzymie jodły czy smreki, już tego nie pamiętam, pasterz bowiem, co z nami szedł od szczytu Pienin polecił nam schronić się pod jedne z nich, a unikać drugich.[1] Czekaliśmy prze-

[1]) W Jasielskim utrzymuje lud, że w leszczynę piorun nigdy nie uderza.

szło godzinę, nim ustała ulewa. Zajmujący był huk grzmotów rozlegający się między skałami i plusk deszczu siekącego po skalistych ścianach i drzewach. Gdyśmy zeszli ku mostowi między Krościenkiem a Szczawnicą niżnią, Dunajec, zrana czyściutki, ciemnozielony na głębi, był mętny, wezbrany, spieniony prawie w jednéj trzeciéj części pokryty suchymi i zielonymi gałązkami i trzaskami, naniesionymi od potoku Leśnickiego. Na nie wydobywały się pływające po wodzie chrząszcze i inne owady, tu i owdzie także salamandry. Przygarnywałem je ku brzegowi i zabrałem z sobą, niosąc je na gołéj dłoni. Że tu i owdzie ze zgrozą pozierano na mnie, rozumie się samo przez się. Nim atoli doszedłem do wsi, spotkałem dwóch czy trzech pastuszków pasących bydło nad drogą. Czy znacie te zwierzątka? zapytałem ich, pokazując leżące na dłoni salamandry. — Znamy, odrzekli. — A czy im robicie co złego, gdy je znajdziecie? zapytałem daléj; może je zabijacie? — Nie, odparli pasterze, tym nic nie robimy. — Ponieważ widok salamander nie zadziwił pasterzy, wniosłem, że im te zwierzęta rzeczywiście nie były obce, i że to co mówili, było prawdą. Czy téż to, co im jeszcze powiedziałem, dlaczego nie należy zabijać salamandry, dotąd pamiętają, nie wiem; wszakże pasterze ci lepiéj mnie się podobali od onych dobrze wychowanych dzieci z lepszych domów, rozcinających prętem żaby, wydzierających chrząszczom nogi, męczących je zapalonymi siarniczkami i t. p.

Salamandra żyje wszędzie w górach naszych. Największą część życia przepędza na lądzie w miejscach ponurych i wilgotnych, w zapadłych dolinach i gęstych lasach, w dziurach w ziemi lub w murach, pod wielkimi kamieniami, starymi ściętymi lub zgniłymi pniami drzew. Wszędzie atoli potrzebna jest jéj wilgoć i bez niéj żyć nie może. Światła słonecznego nie lubi. Nie napotyka się jéj téż w czasie pogody ani w miejscach słonecznych. Podczas dłuższéj posuchy i pogody okazuje się chudą i mdłą, po deszczu gładziutką, okrągłą, czerstwą.

Namieniony przyrodnik Jäger opowiada, że salamandra, którą miał długi czas u siebie, zawsze leżała pod kamieniem okrytym mchem wilgotnym; gdy wyjęto kamień, a salamandrę wystawiono na słońce, biegała niespokojnie, szukając kryjówki, a gdy ją tak dłużéj zostawiono, zaczęła wypuszczać z siebie już wspomniany płyn, co wyraźnie dowodziło, jak niemiłe było dla niéj światło słoneczne. Gdy raz podczas dłuższéj jego niebytności ziemia w skrzyneczce będącéj mieszkaniem salamandry nie została zwilżoną, salamandra żyć przestała.

Kryjówkę swoję opuszcza salamandra tylko w nocy, gdy rosa osiada i po deszczu dla poszukania żywności, składającéj się przeważnie z dżdżownic, wyłażących także pospolicie tylko w nocy z ziemi, z ślimaków i owadów. Na tym polega pożyteczność salamandry; szkody nie wyrządza żadnéj. Twardych pokryw skrzydeł i nóg chrząszczów nie zdoła strawić. Zabawnym

się to wydaje, jak salamandra połyka dżdżownicę. Przypatruje się chwilę pełzającej przed sobą dżdżownicy, wreszcie ją chwyta; jeżeli jéj atoli nie uchwyci za koniec, lecz w środku, puszcza ją i znowu chwyta, aż ją wreszcie dopadnie za koniec. Potym ją zwolna połyka, kiwając przytym głową ku ziemi. Ta robota trwa dosyć długo, albowiem jak tylko salamandra na chwilę spocznie, dżdżownica usiłuje wydobyć się jéj z pyszczka, a że salamandra, jak widać, nie ma wielkiéj siły w mięśniach połyku, przeto też za każdą przerwą w połykaniu dżdżownica wysuwa się nieco napowrót. A gdy już tak dalece jest połkniętą, że nie wystaje więcéj z pyszczka salamandry, połykanie trwa jeszcze z jakie pół kwadransa. Głód wytrzymują salamandry długo, kilka tygodni nawet.

Skoro w jesieni zaczną się niepogoda i przymrozki, skoro zaczyna się mieć ku zimie, niekiedy już we wrześniu, czasem dopiero w październiku lub nawet w listopadzie, salamandra nie opuszcza już więcéj swoich kryjówek, owszem wyszukuje sobie jeszcze dogodniejsze, gdzieby jéj nie tak bardzo dojmowały mrozy i układa się do snu zimowego.

Czy salamandry, gdy ciepłota ich otoczenia jest już tak niska, że woda marznie, w skutek zamarzania giną, jak węże, albo czy pozostają przy życiu, jak żaby i ropuchy, tego dotąd jeszcze nie docieczono. O traszkach wiadomo w tym względzie, co następuje. Przyrodnik J ä g e r zostawił raz przez noc szklankę z traszkami za oknem. Woda zamarzła wraz z znajdującymi się w niéj traszkami. Gdy lód odtajał, traszki w krótkim czasie przyszły do siebie. Wiadomo atoli, że traszka nie wytrzyma dłużéj pod wodą bez oddychania, jak 6 do 8 godzin. Z tego wnoszono, że traszki, a zatym też salamandry, giną, skoro wskutek zamarznięcia oddychanie staje się niemożebne Niewiadomo zaś, czyby ginęły, gdyby mimo niskiéj ciepłoty czyli mimo zmarznięcia pozostała im możność oddychania.

Salamandra rodzi, jak się zdaje, dwa razy do roku od maja do września, żywe młode, tj. młode lęgną się zaraz po zniesieniu jaja, są zatym już w jaju zupełnie wykształcone. Parzenie salamander odbywa się w wodzie i niezawodnie przed ich zapadaniem w sen zimowy, albowiem już we wrześniu i styczniu znaleziono w salamandrach młode, a niektóre trzymane przez pół roku w niewoli, wydawały jeszcze młode na świat. Liczba młodych jednego porodu jest dosyć znaczna, obejmuje bowiem 30 do 40 sztuk Przychodzą one na świat wszystkie od razu albo częściami w krótkich przerwach czasu. W wnętrzu samic znajdowano już do 100 młodych. Zdarzało się, że w niewoli samica rodziła zarazem młode i jajka w równéj liczbie. Młode leżą w nader cieniutkiéj błonce tak zwinięte, że ogonek okrywa zewnątrz głowę. Po przyjściu na świat młode poruszeniem ogonka rozrywają tę błonkę i wydobywają się z niéj. Samica mająca rodzić udaje się do wody, w któréj po dnie biega, salamandry bowiem nie umieją pływać, a przynajmniéj nie pływają dobrze,

Nowo urodzone młode są bardzo małe, barwy jasno-żółtawo-zielonkowatéj, mają już cztery nóżki, a na głowie i za nią trzy pierzaste listeczki oskrzelowe; ogon mają spłaszczony, który w miarę znikania oskrzel zwolna się zaokrągla; ruchy młodych salamanderek są téż żywsze, aniżeli starych, jakkolwiek nie wyrównają traszkom. Urodzone na wiosnę mają w czerwcu do 4 cm. długości i zaczynają przeobrażać się w zwierzęta oddychające płucami. Co do sposobu życia i namienionego przeobrażenia, młode salamandry wiele mają podobieństwa do głowaczów żab.

Wspomniany przyrodnik Jäger uważał to przeobrażenie na salamandrze, którą u siebie chował. Z początku leżała ona zawsze nieruchoma na dnie naczynia, ukryta między korzeniami trawy, polując czasami na żywiątka znajdujące się w wodzie. Z wody nie wychodziła nigdy. Gdy się rozpoczęło jéj przeobrażenie, siadała na wystających z wody pęczkach trawy, nozdrzami wystrzykiwała wodę napełniającą takowe; tym sposobem stawały się nozdrza wolnymi i przystępnymi dla powietrza; skrzela zmniejszały się od dnia do dnia; powietrze wdychane wychodziło napowrót małymi bąbelkami rozporkiem oskrzelowym a nie pyszczkiem, jak to ma miejsce przy końcu przeobrażenia i po nim. Zpoczątku ta salamandra tylko krótki czas bawiła poza wodą i zawsze wracała do niéj. Często siedziała tak, że tylko przednia część głowy wystawała z wody, oskrzela zaś były pod wodą. Wówczasto bardzo dokładnie było można widzieć wydobywające się oskrzelami bąbelki wdychanego powietrza. Po czternastu dniach oskrzela zmniejszyły się prawie o połowę, bąbelki powietrza wydobywały się nimi coraz rzadziéj, a wreszcie zupełnie to ustało. Salamandra opuszczała wodę na dłuższy czas, ogon zaokrąglał się w tym czasie coraz więcéj, salamandra nie pływała już tyle i tak chętnie, jak przedtym, lecz biegała po dnie wody. Trwało to jeszcze dni ośm; w miejscu oskrzel pozostała tylko brodawkowata wypukłość, a rozporek oskrzelowy był prawie zupełnie zawarty. W październiku nie widać już téj wypukłości, a otworek oskrzelowy jest zupełnie zawarty. Wówczas salamandry są 8 cm. długie; gruczolki karkowe i po obu stronach grzbietu są już wyraźne. salamandry nie idą już więcéj do wody, lecz szukają kryjówek do przespania w nich zimy. Czas ginienia oskrzel nie jest u wszystkich salamander tensam, albowiem u żyjących w wodach czystych oskrzela jeszcze w sierpniu, a nawet we wrześniu są zupełnie rozwinięte; czasem pozostają nawet jeszcze do następującéj jesieni. Salamandra dorosła ma 12 do 17 cm. długości.

Skoro atoli salamandry w tak wielkiéj mnożą się liczbie, jak powiedziano, czemuż ich nigdzie nie ma wiele? Niebezpiecznymi nieprzyjaciółmi salamander w ich pierwszéj młodości są wielkie chrząszcze wodne (pływak żółtobrzeżek, kałużnica czarna), tudzież wielkie pluskwiaki wodne i ich poczwarki, niemniéj poczwarki ważek, zjadające je w wielkiéj liczbie. Stare nawet

salamandry, gdy są głodne, zjadają młode. Zupełnie dorosła Salamandra między zwierzętami nie ma wielu nieprzyjaciół, i zdaje się, że prócz węża zaskrońca żadne inne zwierzę nie ima się jéj. Bociany, któreby najprędzéj o to posądzić można, traszek nie lubią, a ropuch ani się tkną. Wątpić zatym należy, aby jadły salamandry. Niektórzy utrzymują, jakoby lisy od biedy brały się do salamander; atoli wiedząc, że psy pochwyciwszy i rozgryzłszy salamandrę, natychmiast ją wypluwają z widocznymi oznakami boleści, sprawianéj im w gębie przez płyn piekący, wydzielający się z gruczołów podskórnych salamandry, słusznie powątpiewaćby można, ażeby lisy jadły salamandry. Najgłówniejszym nieprzyjacielem salamandry jest nierozum i zuchwalstwo człowieka czyli głupota i złośliwość jego. Salamandra, tudzież traszki solą posypane, giną w 2 do 3 minutach. wijąc się boleśnie. Doświadczenia takie, pozbawiające wśród męczarń zwierzę życia, są bezeceństwem. Czy się salamandry linią, niewiadomo; w niewoli chowane nie czyniły tego; traszki zaś liniły się.

Prócz plamistéj salamandry jest jeszcze czarna, dlatego tak nazwana, że jest rzeczywiście zupełnie czarna, a zatym bez plam; przytym jest ona daleko mniejsza od plamistéj a ogon ma nieco spłaszczony. Żyje tylko w okolicach górzystych, u nas w północno-wschodniéj części Tatr. Ojczyzną salamandry plamistéj jest cała Europa od południowéj Szwecyi aż do Hiszpanii, Włoch i Grecyi. Znajduje się także w północuo-zachodniéj Afryce. W niewoli można ją lat kilka utrzymać, żywiąc ją dżdżownicami, nagimi ślimakami, pliszkami mącznika młynarka i innymi owadami, W klatce, w któréj się ją trzyma, należy urządzić sadzaweczkę, a z kamieni i mchu wilgotnego kryjówki. Wspomnieć tu jeszcze wypada. iż autor Obrazów z życia i natury, spostrzegł raz przy Jaszczurówce, że salamandry pełzły we wszystkich kierunkach ku wyższym skałom, opuszczając gniazdo swoje. Góral zapytany, coby to znaczyło, odrzekł, że będzie psota i to długa, jaszczczury przeczuwając ją i bojąc się, żeby ich woda nie zabrała z sobą, pełzną ku skałom. Jakoż nastąpiły rzeczywiście nawalne deszcze i powodzie.

Plinius, pisarz rzymski, niestworzonych naplótł głupstw o salamandrze. Według niego jest ona tak zimna, że jak lód samym dotknięciem gasi ogień. Śluz podobny do mleka, ciekący jéj z pyszczka jest tak gorący, że włosy na całym ciele ludzkim od niego giną, jakiekolwiekby miejsce ciała zwilżono nim. Miejsce to traci zarazem barwę i zmienia się w bliznę. Między zwierzętami jadowitymi salamandra jest najzłośliwsza, gdyż całe wytępia ludy, jeżeli się nie mają na baczności, podczas gdy inne zwierzęta jadowite zraniwszy człowieka, same giną i nie zostają przyjęte od ziemi. Salamandra wlazłszy na drzewo zatruwa na nim wszystkie owoce a ktoby je jadł, umarznie. Wpadłszy do studni zatruwa wodę, a chleb upieczony przy drzewie, którego się salamandra dotknęła choćby stopą tylko, jest

także zatruty. Otóż, co popisał **Plinius** o salamandrze. Że ona ogień zdoła zagasić, w to wierzyli nawet już mędrcy babilońscy (magowie). Rzucano ją więc do ognia w czasie pożarów. U rzymian wszakże, jak **Plinius** świadczy, niektórzy byli tak rozsądni, iż nie wierzyli tej bredni. Byli jednak tacy, co utrzymywali, że spożycie wypatroszonej i w miodzie przechowanej salamandry, której ucięto głowę i nogi, działa podniecająco. Kto innemu zadał kawałek salamandry, tego prawo rzymskie uważało za truciciela i śmiercią karało. Wiara ta istniała w Niemczech jeszcze przy końcu zeszłego wieku. Alchemicy na zwęglone salamandry lali rtęć i mniemali, że to będzie sposób do otrzymania złota Wszakże postępowanie to uważali za bardzo niebezpieczne.

Niedorzeczności Pliniusowe, starsze od niego i przez niego tylko zebrane lub skąd inąd wypisane, przetrwały wieki i niemała ich część dotąd jeszcze u ludu prostego uchodzi za prawdę. Dziwić się temu trudno. Szkoły ludowe wieleby tu dobrego zdziałać mogły, gdyby w nich obznajamiano uczniów z przyrodnictwem krajowym. O potrzebie udzielania u nas tych wiadomości w szkołach początkowych snać nie wielu wątpi, i nauczyciele światlejsi nie są obojętni dla nauk przyrodniczych, kupują obrazki przedstawiające zwierzęta i rośliny, rozwieszają je w szkole, zakładają nawet małe zbiorki. Usiłowania te, zasługujące na uznanie i popieranie, odniosą pożądany skutek, skoro tylko wiadomości przyrodnicze udzielane uczniom w szkołach ludowych i średnich nie będą się ograniczały do nazwania przedmiotu, albowiem znajomość nazwy jakiegobądź przedmiotu nie jest jeszcze znajomością jego, lub do pobieżnego i niedokładnego opisu, lecz gdy się rozciąga do życia zwierząt, ich przymiotów i obyczajów, ażeby uczniowie nauczyli się szanować i cenić twory przyrody. Przy prawdziwie epidemicznym szerzeniu się błędnych pojęć drogą tradycyi, przy łatwości, z jaką się na tej drodze nabywają wiadomości, przy niewygodzie, jaką sprawia u nas niejednemu jeszcze czytanie czegobądź prócz gazety, nikt wprawdzie nie zadziwi się, gdy się spotka z wyobrażeniami Pliniusowymi, wszakże życzyć wypada z niejednej przyczyny, ażeby z brakiem wiadomości przyrodniczych nie spotykano się tam gdzie są najpotrzebniejsze. *Inter agrorum nostrorum indefessam culturam datur non parva naturae oeconomia*, rzekł *Gabryjel Rzączyński* sto siedmdziesiąt lat temu. Co tu powtarzając, dodam i te jego słowa: *Si quae perspexeris, adverteris, noveris singularia, rara, mira in regno nostro, exposcenti enixe gratiam mihi suppedita nutu, voce vel literis.*

W sprawie męczarni bydła rzeźnego.

Berlińskie towarzystwo ochrony zwierząt rozesłało do wszystkich czasopism niemieckich, jakoteż do wszystkich ich towarzystw ochrony zwierząt następującą „**odezwę i prośbę**.“

„Uobyczajenie ludzi i prawdziwa ich religijność odbija się zawsze w litościwym obchodzeniu się z zwierzętami Zasady towarzystw ochrony zwierząt pozostają w ścisłym związku z wszelkimi innymi dążnościami humanitarnymi naszych czasów.

„Te towarzystwa zwracały już od wielu lat uwagę publiczności na straszne dręczenie zwierząt masami, które niestety do dnia dzisiejszego w większej części Niemiec się utrzymało a które głębokim współczuciem przejąć musi każdego niezatwardziałego człowieka.

„Mamy tu na myśli zupełnie niepotrzebne męczarnie, którym w całym Państwie niemieckim podlega codziennie przeszło 100.000 sztuk bydła rzeźnego.

„Męczarnie te można łatwo uchylić przez odurzanie czyli znieczulanie zwierząt rzeźnych, małych i wielkich, zapomocą odpowiednich przyrządów.

„Jeżeli już nie gwoli litości nad dręczonymi zwierzętami, to przynajmniej ze względu na uobyczajenie ludzi należy się starać o wprowadzenie humanitarnego postępowania przy zabijaniu bydła; niezaprzeczoną jest bowiem rzeczą, że między okrucieństwami wobec zwierząt a brutalstwem i zbrodniami wobec ludzi istnieje ścisły związek.

„Wszelkie usiłowania niemieckich towarzystw ochrony zwierząt o prawne zarządzenia w rzeźniach co do odurzania i mniejszych zwierząt — w niektórych rzeźniach już dobrowolnie zaprowadzone — nie odniosły dotąd pożądanego skutku.

„W tym celu należy rozbudzić serca ludzi i przekonać, że niepotrzebne męczenie bydła rzeźnego aż do ostatniego jego tchu jest w ogólności niegodziwością i nieprawością, chociaż prawem jeszcze nie zakazane. Należy przeto w tym kierunku działać, aby jak największa liczba władz gminnych i powiatowych z mocy przysługującego im prawa policyjnego zarządzały u siebie odurzanie zwierząt przed ich zabiciem.

„Jesteśmy przekonani, że takie dręczenie zwierząt rzeźnych masami musi srodze drażnić uczucie wszystkich dobrych i uobyczajonych ludzi, przeto prosimy ich, aby dążności towarzystw, ochrony zwierząt co do uchylenia tego złego w każdy możliwy sposób popierali. W szczególności upraszamy o to **zarządy gmin i powiatów, duchowieństwo, nauczycieli, literatów i redaktorów dzienników.**“ —

Następuje 200 podpisów najznakomitszych osób w Niemczech, między tymi najwyższych urzędników, ministrów, prezydentów rządu, dalej wojskowych najwyższych stopni, marszałków polnych, profesorów uniwersyteckich, najwyższych dostojników duchowieństwa (p r y m a s ó w, a r c y b i s k u p ó w i b i s k u p ó w), bardzo wielu deputowanych do Rady Państwa, członków Izby panów i t. d.

Do wyjaśnienia tej sprawy dodać winniśmy, że chodzi tu głównie o *rzeźnie rytualne*, żydowskie, rzeźnie na prowincyi i po domach prywatnych, gdyż po większych miastach używają prawie wszędzie masek i innych przyrządów do odurzania,

a wiele krajów niemieckich ma dla rzeźni publicznych szczegółowe zarządzenia rządowe, o których już często wspominaliśmy w naszym czasopiśmie. We Lwowie używają rzeźnicy maski rzeźniczéj systemu p. Brunneau, wprowadzonéj jeszcze r. 1881 przez magistrat za inicyjatywą tamtejszego towarzystwa. W Krakowie nic podobnego nie ma jeszcze mimo starań towarzystwa, a o prowincyjach przy obecnych stosunkach nie ma co myśleć, gdzie magistratura spoczywa w rękach żydów lub żydowskich chrześcijan. W Krakowie i we Lwowie nie można o dręczeniu przy rytualnym zarzynaniu nawet głosu podnieść, gdyż okrzyczanoby nas antysemitami — Musimy więc czekać na skutek powyższéj odezwy, a wtedy i my weźmiemy się do dzieła energiczniéj. —

Wół i paw.

Wół do wozu zaprzężony
ciągnął w pole pług i brony.
Widząc pawia na płocie, w tak ozdobnéj szacie,
pozdrowił go uprzejmie: — Jak się macie, bracie! —
— Co?! — krzyknął paw wrzaskliwie — bratem mnie nazywa
ten prostak, co to siano i słomę spożywa,
i stoi na łańcuchu jak więzień, przy żłobie.
Poczekaj kanalio! dam ja, dam ja tobie.
Czy ty nie wiesz, żem ja pan! wszyscy mnie tu znają,
gęsi, kury, indyczki, wciąż mi się kłaniają —
nawet sroki, gawrony, przez uszanowanie
tytułują mnie zawsze: Jaśnie Wny Panie! —
Tak, tak, tak, — rzecze kaczka — jesteś pięknym ptakiem
on wołem pracowitym, a ty co? — próżniakiem! —

X. Y. Z.

Pijawka barometrem.

W broszurze wydanéj w roku 1880 pod tytułem: „*Zwiastuny zmian powietrza*“ napisał Mikołaj Rybowski według spostrzeżeń ludu polskiego co następuje: „Pijawka jest bardzo czułą na zmiany powietrza i daleko pewniéj je przepowiada niż barometr. W tym celu wkładają zdrową pijawkę do szklanego słoika, napełnionego $^3/_4$ wodą, dają na spód piasku rzecznego, a otwór zawiązują rzadkim płótnem. Deszcz rychło nastąpi, gdy pijawka pod sam wierzch wody wypłynie. W czasie słoty przebywa stale w szyjce słoika. Na wiatry śmiga się (pływa) nieustannie w wodzie, a na burzę wychodzi na brzeg, gdzie wije się niespokojnie. Na pogodę i mróz leży spokojnie w kłębek zwinięta na dnie naczynia. Na śnieg taksamo z wody wypływa, jak na deszcz. Woda rzeczna jest dla niéj lepszą od studziennéj, którą w lecie co ośm dni zmieniać należy, a w zimie rzadziéj“.

WŚCIEKLIZNA.

Dr. Bell-Taylor, członek towarzystwa lekarskiego w Londynie, miał tamże wobec bardzo licznie zebranych lekarzy odczyt o wściekliźnie, który jako dla nas bardzo ważny w dosłownym tłómaczeniu przytaczamy.

„Dawniéj widzieć można było psa wściekłego tak rzadko jak łabędzia czarnego. Stare podanie mówi, żeśmy w Anglii całéj nigdy więcéj, nad jednego psa wściekłego nie mieli równocześnie, a mijały lata, żeśmy o żadnym nie słyszeli. *Mr. Pavitt*, dozorca schroniska dla psów, w ciągu lat 17 nie widział ani jednego. Dziś zaś pod wpływem wrzekomo cudownego odkrycia Pasteura i hałasów, jakie o tym robią dzienniki, wścieklizna stała się tak zwyczajną jak ospa, gdyż każda wieś wykazuje corocznie jeden lub dwa wypadki, a każdy posiadacz psa patrzy na swego pudla niedowierzająco, ażali on jutro nie będzie wściekłym. W krótkim stosunkowo czasie zabito w Londynie 60.000 psów. Prawie każdego dnia zabito kilka psów na ulicach, gdyż miano je za wściekłe, a liczba zabitych była tak wielką, że nie wiedziano innego sposobu uprzątnięcia trupów, jak palenie. Siedm tysięcy funtów szterlingów przepadło podatku od psów, a wartość zniszczonych psów wynosi także znaczną sumę. Tymczasem, pośród tego mordowania, komisyja od wścieklizny nie dała znaku życia A dlaczego? Bo nie mogła dostać ani jednego psa wściekłego do experymentu!

Cóż jest wścieklizna? Gdy zapytam moich uczonych przyjaciół, co jest wścieklizna, odpowiadają mi: „jest to wścieklizna“; a gdy dla bliższego obznajomienia się, przewracam odnośne pisma, nie znachodzę nic prócz samych wątpliwości, niepewności i sprzeczności. I tak *Dr. Banham*, autor znakomitego artykułu o tym przedmiocie w Quain'a słowniku dla medycyny, powiada: „*Wścieklizna u psa jest to choroba bez febry, która objawia się pewnymi, nerwowymi symptomatami, szybkim schudnięciem i śmiercią w kilku dniach.*“ *Mayhew*, znakomity weterynarz, którego dzieło o psie zalecam waszéj uwadze i którego zdanie podziela także profesor *Youat* i *Sir Thomas Watson*, mówi: „*Wścieklizna jest to choroba febryczna, psa rzeczywiście trawi febra. Każda nitka jego ciała jest zapaloną, a oczy, które w pierwszym stadyjum jego choroby świecą jak węgle żarzące, stają się zielone i krwią podeszłe, występują z jam, aż śmierć skończy tę okropność.*“ *Dr. Stockwell*, znakomitość doświadczona, powiada nam, że „*prawdziwa wścieklizna okazuje się wielorakimi i rozmaitymi objawami, z których ani jeden nie jest jednakowym: a skonstatowanie jéj jest nawet najbardziéj doświadczonemu bardzo trudne. I rzeczywiście, jéj rozwinięcie się, jéj symptomata i jéj zewnętrzne objawy są tak błędne, zwodnicze, że powstaje kwestyja sporna, czy takowa wogóle jako osobna choroba istnieje. Psia choroba, ból zębów, ból uszów, rak, choroba jelit, choroba żołądka, febra, choroba szyi i płuc, epilepsyja, menin-*

gitis i cały szereg cierpień nerwowych, którym psy podlegają, zawsze bywają z nią przemieniane. Co się mnie dotyczy — dodaje tenże — *to w ciągu mojéj 30-letniéj praktyki jako lekarz, jako posiadacz psów i badacz, nie natrafiłem ani na jeden rzeczywisty wypadek wścieklizny, a co się tyczy takich kilku psów, których mi jakoby wściekłe dostarczono, to skonstatowałem, że wszystkie one cierpiały na inne, stosunkowo nawet nieszkodliwe choroby. Rzeczywiście nie ma żadnych pewnych oznak, ani za życia, ani po śmierci, po którychby wściekliznę z pewnością poznać mógł, a to nawet bardzo doświadczony lekarz lub weterynarz.*“

Sądzę, że na podstawie takich orzeczeń i prawd łatwo możemy wnioskować, że prawdziwa wścieklizna, jaką nam *Mayhew* opisuje, dziś tak jest rzadką, jak i dawniéj, lecz że my dziś dyjagnozę zenadto rozszerzamy i że według idei modnych dzisiejszych lekarzy, każdy pies ekscentryczny, drażliwy, gryźliwy, za wściekłego bywa uznawany. Rozumie się, że w wypadkach wątpliwych należy zarządzić środki ostrożności, ale co do kwestyi naukowéj nie mogą takie świadectwa mieć żadnéj wartości, gdy nie opierają się na ściślejszym badaniu po śmierci i to nie gwałtownéj, a które nadto przez kompetentną komisyją zbadane i potwierdzone być muszą.

Wodostręt u ludzi, tylko jako symptomat i najrzadszy z chorób, wydarza się tak rzadko, że trudno jest znaleść lekarza, któryby taki wypadek widział; tak rzadką jest ta choroba, że nasze wielkie szpitale po prowincyjach przez 20 a nawet 30 lat, żadnego podobnego wypadku nie miały; — tak rzadką, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, człowiek więcéj jest narażonym na śmierć pod kopytem końskim, jak przez ukąszenie psa, — prędzéj paść może z ręki mordercy, niż na wodowstręt; — tak rzadką, że p. *Holmes Coote* w czasie swéj 35-letniéj praktyki widział tylko dwa wypadki w olbrzymim szpitalu św. Bartłomieja; tak rzadką, że na milijon wypadków śmierci, tylko jeden przypisany być mógł wściekliźnie i to jeszcze wątpliwie.

Jakież niebezpieczeństwo zagraża człowiekowi, który przez psa rzeczywiście wściekłego został ukąszony? Niebezpieczeństwo to jest o wiele mniejsze, abyśmy się go tak bardzo obawiać mieli. Wydawca „*Medical Times and Gazette*“ z 31. października 1886 mówi: „95 na 100 pokąsanych przez psy wściekłe, zostaje zdrowych“. W departamencie Sekwany w roku 1881, 1882 i 1883 było 268 osób pokąsanych przez psy wściekłe, a z tych umarło 34 na wodostręt. *John Hunter* mówi: „z 28 pokąsanych przez zwierzęta wściekłe, zachorował tylko jeden“, a prof. *Dick*, dyrektor edynburskiéj szkoły weterynaryjnéj, uznaje wodowstręt za cierpienie nerwowe, spowodowane przestrachem. On sam był często pokąsany przez psy wściekłe, które miał obserwować i nie obawiał się tego wcale, aby znowu tyleż razy nie był ukąszonym. *Profesor Youat* był siedm razy ukąszony przez psy wściekłe pod jego dozorem będące, a nie doznał żadnych złych

skutków. W zakładzie słynnego weterynarza *Bourrela* było 11 osób pokąsanych przez psy, wszystkie zostały zdrowe, chociaż psy poumierały na wściekliznę. Również twierdzi *Dr. Stockwell*, że 98 procent ludzi pozostaje zdrowych. Amerykanin *Stephens* nie zaniedbuje żadnéj sposobności, aby być przez psa wściekłego ukąszonym, chcąc udowodnić, że wścieklizna istnieje tylko w wyobraźni ludzi. On sam był już 47 razy, a jego uczeń *Fischer* 19 razy ukąszony. Ogromna większość pokąsanych ludzi pozostala zdrową, a nie dotyczy to tylko ludzi, o których wnosić można, że przedsiębrali różne środki zapobiegawcze, jak wymycie, wyssanie i żniszczenie jadu, — lecz zwierząt, które takich środków nie używały. To dowodzi, że jadu wścieklizny nie ma. Słynny patolog *Hartvig* miał pudla, który 9 razy był pokąsany przez psy wściekłe, a nadto zaszczepiono mu jad wścieklizny. Czynił on wszystko, aby u pudla wściekliznę wywołać, lecz wszystko napróżno. *Dr. Stockwell* mówi, że w zakładach weterynaryjnych dawano psy po 3 do 11 razy psom wściekłym do pokąsania a przecież się nie powściekały. *Growe* twierdzi, że na 20 psów pokąsanych przez psy wściekłe, zaledwie jeden się wściekł. *John Hunter* mówi, że: 1 na 21; *Hamilton* 1 na 25; *Niemann* 1 na 35, a *Fahr* na podstawie swoich bardzo rozległych badań orzekł, że tylko 31 na 802 psów pokąsanych się wścieka. Tu leży właśnie tajemnica wielkiéj odporności, którą *Pasteur* przez swoje szachrajskie szczepienie wyzyskuje.“

USTAWY I ROZPORZĄDZENIA.

Rozporządzenie ministra oświaty we Francyi.

1) Poleca się wszystkim prefektom, aby ustawę Grammont'a po wszystkich szkołach ogłoszono, na ścianach przybito, aby nauczyciele takową uczniom objaśniali i tym sposobem dzikość i okrucieństwo u uczniów zwalczali i tychże pouczali, że przekraczający to prawo surowéj ulegną karze;

2) nauczyciele, którzy się tym szczególniéj odznaczą, otrzymają wynagrodzenie 100 fr.;

3) burmistrzom po miastach i wsiach nakazuje się, aby o ścisłe wykonanie téj ustawy dbali i aby urządzających walki byków i kogutów i inne podobne okrucieństwa bezwzględnie karali;

4) przeciw haniebnemu mordowaniu masami ptaków przelotnych należy wystąpić z całą energiją i surowością.

Kosztem rządu rozdzieliło ministerstwo około 30 000 egzemplarzy ustawy o ochronie zwierząt.

Najgłówniejsze dręczenia zwierząt, podpadające téj ustawie są: rozmyślne okaleczenie, nadmierne bicie, używanie do pracy zwierząt poranionych, przeciążenie, przeładowanie wozów do transportu zwierząt, zabawy, przy których zwierzęta bywają dręczone, jak walki byków, kogutów i t. p., wreszcie te sposoby zabijania, które zwierzętom niepotrzebnie cierpienia sprawiają.

Ministerstwo oświaty zakupiło dzieło premijowane przez paryskie towarzystwo ochrony zwierząt p. t. «*Męczennicy pracy*: koń, osieł, muł, wół, z notatkami o chorobach zwierząt, o leczeniu tychże i o zwierzętach pożytecznych i szkodliwych», z 244 ilustracyjami przez *Edwarda Roche de Sinas* (Paris, Libraire Ch. Delagrave) dla biblijotek szkół ludowych i poleciło je jako książkę do czytania i na nagrody dla uczniów.

Obowiązujące przepisy w Hamburgu.

Transportowane zwierzęta nie śmią być katowane, dręczone lub pędzone; mniejszych zwierząt rzeźnych niewolno podczas transportu krępować. Gdy świnie i cielęta na jednym wozie są transportowane, muszą w osobnych przedziałach być umieszczone.

Przy ładowaniu i wyładowaniu należy zwierzęta podnosić, albo po pomostach sprowadzać; rzucać ich niewolno.

Wozy do transportu zwierząt muszą być tak obszerne, aby zwierzęta swobodnie obok siebie stać lub leżeć mogły.

Drób wszelakiego rodzaju należy transportować tylko w klatkach lub kojcach przewiewnych, które odpowiednio muszą być obszerne. Transport we wozach jest zabroniony, również jak wiązanie jednych z drugimi, lub też noszenie za nogi (*Hamburg*, *Strassenordnung*, 1881, §. 42.)

O rzeźniach.

Rozporządzeniem ministerstwa szlezwicko-holsztyńskiego polecono wszystkim urzędnikom powiatowym i okręgowym, aby:

1) zwracali uwagę rzeźników i ich pomocników na materyjalne korzyści, wynikające z zabijania bydła po poprzednim odurzeniu tegoż;

2) zalecali gminom, korporacyjom, cechom i t. p. poprawne do tego odurzenia służące przyrządy;

3) ostro i pilnie kontrolowali wszystkie rzeźnie i wszelkie dręczenia i inne nadużycia surowo karali.

Rozkaz dzienny policmajstra w Rydze

z dnia 8. sierpnia 1890.

Zwracam uwagę prystawów okręgowych na to, że konie, uprząż i ubiór woźniców dorożkarskich i wozów ciężarowych nie jest w odpowiednim porządku, i że pierwsi szczególnie porą nocną wyjeżdżają na stanowiska z końmi słabymi, a woźnicy wozów ciężarowych używają do pracy koni chorych i wynędzniałych, które nie są w stanie uciągnąć ciężarów na nich nałożonych. W celu usunięcia tych nieporządków polecam pp. prystawom nie dopuszczać do wykonywania owego przedsiębiorstwa wszystkich tych furmanów, którzy wydanych przepisów w tym kierunku nie zachowują, i pociągać wszystkich przekraczających wydane przepisy, do odpowiedzialności.

Także niewolno woźnicom wstępować do szynkowni i pozostawiać koni bez nadzoru.

Nowa ustawa o opłacie od psów.

Na IX. posiedzeniu dnia 4. listopada 1890 uchwalił Sejm następującą ustawę:

§. 1. *Gminy mające osobny statut gminny, jakoteż gminy, w których obowiązuje ustawa z 13. marca 1889, mogą nakładać opłaty od psów w obrębie gminy utrzymywanych, do wysokości 5 złr. rocznie od każdego psa.*

§. 2. *Uchwała Rady miejskiéj powzięta w téj mierze wymaga zatwierdzenia przez Wydział krajowy. Uchwała ta określi bliżéj postanowienia wykonawcze, oraz wskaże wypadki, w których zwolnienie od opłaty dozwolone będzie.*

§. 4. *Do nałożenia wyższéj opłaty ponad złr. 5 rocznie potrzebną jest uchwała Sejmu krajowego.*

§. 5 *Ustawa niniejsza wchodzi w życie zaraz po jéj ogłoszeniu.*

Przedstawił ją sejmowi poseł włościański *Merunowicz,* który odłożywszy ulubioną a niezałatwioną swą sprawę co do żydów, postanowił uszczęśliwić lud wiejski ustawą o psach. Popierał on ją bardzo gorliwie w sejmie i tym razem doznał nawet poparcia od wyższych sfer. Nie przypuszczał on, aby tak proste, naturalne i dla ludu bardzo pożyteczne postanowienie mogło natrafić na opozycyją. Wystąpili jednak przeciwko temu projektowi posłowie włościańscy, *Huryk* i *Okuniewski,* upatrując w tym niebezpieczeństwo dla gmin i małych miasteczek, gdzieby żydzi mogli uchwalać takie opłaty uciążliwe dla gospodarzy wiejskich, którzy bez psów obejść się nie mogą i tylko tym najwierniejszym, najczujniejszym i najtańszym stróżom zawdzięczają bezpieczeństwo swego mienia i życia przed podpalaczami i złodziejami. Tym tylko dwom posłom zawdzięczyć należy, że mimo gorących perswazyj p. *Merunowicza* ograniczono ustawę tę tylko do miasta Lwowa i Krakowa, tudzież do 30 miast większych. A może ograniczenie to zawdzięczyć należy także i posłom *Abrahamowiczowi* i *Edw. Jędrzejowiczowi,* reprezentantom obszarów dworskich, którzy domagali się uwolnienia psów dworskich. Tu już nieprzeparta logika nakazywała uwolnić także psy chłopskie, które na zagrodach chłopskich spełniają tesame funkcyje co i na dworach pańskich, bo nawet trudno dopatrzyć różnicy między tymi dwoma kategoryjami psów. Że obawy posłów *Huryka i Okuniewskiego* nie były płonne, potwierdza ta okoliczność, że w Buczaczu, gdzie burmistrzem jest żyd, który patrząc okiem nieprzychylnym na nowo zawiązujący się Oddział gal. Towarzystwa ochr. zwierząt w tym mieście, natychmiast postarał się o zaprowadzenie opłaty od psów w Buczaczu. Że nieprzychylność jego dla Towarz. ma pewne uzasadnienie, okazuje się stąd, że niedawno temu dwaj członkowie Tow. zajrzawszy do porządków w rzeźni tamtejszéj, uchronili mieszkańców tego miasta od spożycia dwóch krów padłych, gdy już z jednéj przeznaczonéj do zakopania i polanéj naftą, mieszkańcy mięso skonsumowali, niemogąc dociec, dlaczego tak trąciło naftą. Słusznie tedy p. burmistrz ma żal do Towarzystwa, którego członkowie ośmielają się czasem wglądnąć w gospodarkę miejską.

Jeżeliby kto mniemał, że przewodnią myślą ustawy o opłacie od psów jest uporządkowanie téj sprawy ze względów na bezpieczeństwo

publiczne, ten jest w błędzie. Opłatą nic więcéj się nie osiągnie, tylko kilka guldenów do kasy gminnéj. Wiemy to z doświadczenia, że od czasu, gdy opłatę od psów we Lwowie i Krakowie czym raz w górę wyśrubowywano, wprowadzano tymsamym coraz większe nieporządki z psami. Kto nie może podołać tak wysokiéj opłacie, wyrzeka się psa i puszcza go na włóczęgostwo, a ponieważ psy zawsze się mnożą, więc złemu temu nie będzie tak długo końca, aż wreszcie po smutnych doświadczeniach sprawa ta doczeka się rozumnego załatwienia, gdy raz prawdziwi przyjaciele psów i ludzi wypowiedzą słowo decydujące.

Nie było w sejmie naszym Windhorsta, który przed laty, gdy w sejmie pruskim pojawił się podobny wniosek, powiedział: „Pies zrósł i zespolił się z rodziną wieśniaka i nikt więcéj go nie ceni od niego. Sprawa ta jest sprawą socyjalną, i ja nie radzę wtykać kija w to gniazdo. Zabrać chłopu przemocą psa, to znaczy tyle, co zamach na jego życie rodzinne. Ja panów ostrzegam przed tą niebezpieczną zabawką“.

I Sejm odrzucił projekt jednogłośnie.

My uważamy opłatę od psów tylko jako nową śrubę do wyciągnięcia podatku i nic więcéj. Jakie ona wyda skutki, to niedaleka przyszłość okaże.

Jeszcze do Szanownych Członków!

Członkowie różnych towarzystw mają ten chwalebny zwyczaj, że poczuwają się do pewnéj łączności, uważają towarzystwo, do którego należą, za dzieło swoje własne, cieszą się jego rozwojem a smucą jego niedolą. W naszym Stowarzyszeniu inaczéj się dzieje; brak większego zainteresowania się sprawami towarzystwa; brak czynów okazujących, że dążności towarzystwa leżą członkom na sercu, a dążnościom tym należy wyznaczyć odpowiednie i poszanowania godne stanowisko. — Przyznajemy, że nie każdy ma odwagę wystąpić do walki z brutalnością i narażać się na nieprzyjemności. — Do każdéj walki potrzeba wielu ludzi a to odważnych, z poświęceniem. — Gdyby każdy z Szan. Członków raczył przysporzyć Stowarzyszeniu przynajmniéj jednego członka, możeby między tymi znalazło się więcéj członków walczących. Stanęlibyśmy silniéj a rozumie się i odważniéj i nie słyszelibyśmy zarzutu, że się mało robi. Zechcą tedy Szanowni Członkowie nie zapominać o towarzystwie, a zjednać mu w roku następnym przynajmniéj po jednym członku, co wszakże nie będzie tak trudne, a spełni się przez to jeden z najważniejszych obowiązków.

Sekretarz.

Redakcyją numeru zamknięto 31. grudnia 1890.

Nakładem krak. Stow. ochr. zwierząt. — Drukiem A. Koziańskiego w Krakowie.